

Leszek Mroczkowski

Sygnatura notacji: N1298

Data urodzenia: 25.07.1948 r.

Data nagrania: 11.09.2018 r.

Miejsce nagrania: Willa Szczyrkowianka, Szczyrk, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Henryk Domagała

Czas nagrania: 43 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Leszek Mroczkowski: Nazywam się Leszek Mroczkowski, urodziłem się w Warszawie, oj, bardzo dawno temu, to znaczy w 1931 roku. Proszę państwa, pochodzę z rodziny wojskowej. Mój ojciec był podoficerem, walczył z bolszewikami i tak już pozostał później w wojsku aż do śmierci. Dorastałem w tej rodzinie z dwoma starszymi braćmi. Rodzina pełna ciepła, miłości. Niestety w 1939 roku, wiadomo, ojca jako wojskowego, artylerzystę, natychmiast powołano do służby, a my zostaliśmy na Targówku. I pierwsza bomba, która spadła, musiała trafić obok naszego domku na Targówku i domek oczywiście się rozsypał. Nikomu z nas nic się nie stało, dzięki Bogu. Przenieśliśmy się na Pragę, Żąbkowska 50, jeżeli państwu to coś mówi. Tam dorastali moi dwaj starsi bracia i zaczęła się praca mojej mamy w konspiracji. Jacyś panowie przychodzili, wychodzili, przynosili paczki lub je zabierali. Powstanie niestety zastało mnie na Pradze i tylko najstarszy mój brat, Mietek, poszedł na powstanie i tam zginął w pierwsze dni powstania. „Wyzwolenie”, w cudzysłowie oczywiście, zastało nas na Żąbkowskiej na Pradze. Nie będę opowiadał, jakie były przeboje z tymi moskalami, którzy byli brudni, oberwani i zachowywali się skandalicznie. I tak zastał nas 1948 rok. Zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Otóż członkowie mojej rodziny, wszyscy ci, którzy należeli do Armii Krajowej, brali udział w powstaniu albo nie, zaczęli pomału ginąć bez śladu. Wychodzili do pracy i nikt nie wiedział, gdzie są, co się z nimi stało. I tak przepadł jeden wujek, później stryjek, później znowu brat cioteczny. I wtedy moja mama, ponieważ mojego brata już starszego, Zbyszka, nie było, bo go wysłała na Zachód, wysłała mnie właśnie za nim do ciotki, do Jeleniej Góry. Proszę sobie wyobrazić, w Jeleniej Górze było fajnie, spokojnie, cicho, ale w dalszym ciągu ja byłem półanalfabetą. Po prostu w czasie okupacji chodziło się do szkoły od przypadku do przypadku, więc postanowiłem podjąć naukę. Zapisalem się do takiego gimnazjum dla dorosłych, bo już miałem wtedy 17 lat. I proszę mi wierzyć, przypadek, los, do klasy, do której ja zostałem dopisany, dziwnym trafem, później, jak się dowiedziałem,

cała ta klasa była członkiem IV Komendy WiN-u. A dowódcą tej klasy był właśnie wykładowca. Na początku tak bardzo obserwowano mnie, byli wszyscy nieufni w stosunku do mnie, później zaprzyjaźniliśmy się i po trzech czy czterech miesiącach już byłem po przysiędze. A dlaczego tak długo zwlekano? Dlatego że w październiku 1948 roku kończyłem 18 lat. A zasada była taka, że nie przyjmowano nikogo do oddziału, jeżeli nie ukończył 18. roku życia. Pół roku ćwiczenia po przysiędze, nauka i znalazłem się w lesie w oddziale „Wilka”. No ciężkie to były czasy, ciężkie to były, dlatego że byliśmy zwierzyną, na którą polowano i dzięki temu tylko, że społeczeństwo na tamym terenie składało się w 80%, a może więcej, z przesiedleńców zza Buga, było nam przychylne. Gdyby nie oni, nie mielibyśmy żadnych szans przetrwania. Oczywiście oddziały były niewielkie, nie było mowy o takich oddziałach jak szły z Wileńskiego w latach 1945–46. Oddziały liczyły od 10 do 30 osób. Po jakimś czasie, to był chyba 1949, a może początek 1950 roku, przerzucono mnie do specjalnego oddziału, który miał za zadanie przeprowadzanie ludzi przysłanych z centrali do Czechosłowacji i tam przekazywanie ich do następnego transportu do Austrii. Ponieważ byłem wysportowanym młodym człowiekiem, a służba była piekielnie ciężka, do dziś dnia nie mogę sobie wyobrazić, jak to było, że przechodziło się nocami po trzydzieści kilka kilometrów, idąc bezdrożami, lasem, czasami przechodząc przez strumienie czy jakieś mniejsze rzeczki. I tak mnie zastała obława w 1952 roku. W tej obławie zostałem ranny i wzięty, jak to się mówi, do niewoli. Co to była za niewola, proszę państwa, traktowano nas jak bydło, gorzej jeszcze. Młodzi chłopcy z KBW, którzy służyli dla Urzędu Bezpieczeństwa, to byli chłopcy, którzy niedawno jeszcze paśli krowy na łąkach gminnych i których sprowadzono do miasta, dano im mieszkania, pensje, niektórym nawet gwiazdki. Dla nich ta władza była tak święta i tak nietykalna, że każdy, kto był przeciw tej władzy, był bydłakiem. To oni bili, katowali. Jeżeli chodzi o przesłuchujących nas śledczych, to tak gdzieś do porucznika, do kapitana, to byli polscy komuniści, durnie przeważnie to jakieś, nie wiem, skąd oni ich rekrutowali. Natomiast od kapitana w górę to był albo Żyd rosyjski, albo Żyd polski. Nie spotkałem nikogo, żadnego inteligentnego człowieka, o którym mógłbym powiedzieć, że zasługiwał na to, żeby nosić mundur Wojska Polskiego. Śledztwo miałem okrutne, zresztą jak wszyscy. Ja nie byłem jakimś nadzwyczajnym, wybranym osobnikiem. Traktowano nas podle. Dla mnie najgorszą męką było to... tak zwana stójka. Wyprowadzano do piwnicy, w takim maleńkim pomieszczeniu była wnęka w ścianie, 30-centymetrowa może, zostawiano tam rozebranego, gołego delikwenta i zamykano kratę. I tak się stało dwa, trzy dni we własnych odchodach. Pierwszy dzień to był... taka stójka, rozmyślanie, co by było, gdyby było. Ale drugi dzień to już była walka z samym sobą. O trzecim dniu nawet nie chcę wspominać. Proszę państwa, można było oszaleć. Nie dochodziły żadne dźwięki. Zresztą nie chcę nawet o tym mówić. To była taka... Bo do bicia można się przyzwyczaić. Ja miałem takiego śledczego, który był sadystą. Jego największą przyjemnością było bicie tak, żeby wybijać zęby. Zresztą wszystkie te opowiadania znajdziecie państwo w mojej książce. Są to wspomnienia pisane do szuflady. Tylko dzięki przyjaźni z ludźmi o podobnej, że tak powiem, historii ukazała się książka. Pierwsze wydanie wydał Burmistrz Łomianek pod Warszawą, drugie wydał MON, a trzecie wydała jakaś zaprzyjaźniona fundacja. Ale wróćmy do tego śledztwa. Rozprawa była krótka, w małym pokoiku trzech oficerów siedziało za biurkiem, za stołem, przepraszam, coś tam między sobą rozmawiali. Powołano jakiegoś żołnierza, który przyszedł, pokazał na mnie palcem i powiedział: „Tak, to ten do mnie strzelał, a nie dobił mnie tylko dlatego, że zaciął mu się karabin”. Otóż była to bzdura, bo ja nikogo nie chciałem dobijać, bo z obławy zawsze wychodziło się szybko, aby tylko wyjść z obławy, a nie, żeby tam jeszcze kogoś dobijać. Rozprawa trwała krótko, trzech moi koledzy dostali po 15 lat, a ja dostałem karę śmierci. I tak znalazłem się w celi śmierci na Kleczkowskiej. Kiedy mnie tam przyprowadzono, siedziało tam jeszcze trzech ludzi, ksiądz Wrona, Stasiak, cichociemny, taki góral, o ile dobrze pamiętam, spod Trzech Koron, ale nie jestem pewien,

Józuś. Jakie to było życie? Już wtedy zaczęła kiełkować w mojej głowie myśl, żeby napisać, jak to się czuje człowiek, którego za kilka dni wyprowadzą i zastrzelą. Wiedziałem, że z tej celi nie wychodzi się żywym. W ten sposób powstał wiersz „Ostatni list do matki”. Pozwolę państwu, że przeczytam ten wiersz. On powstał w celi śmierci. Proszę sobie nie wyobrażać, że mogłem go tam zapisać, bo pod żadnym pozorem nie można było mieć nawet odrobinki, kawałek papieru, włącznie z toaletowym. Nie wolno i już. „Piszę do Ciebie mamo, bo wiem że klęcząc prosisz Boga O Syna i o zmiłowanie i wielka w sercu twoim trwoga. Nie płacz mateczko, nie płacz proszę Czas jest lekarstwem, co leczy rany, a za dni kilka przyjdzie pismo, że «wyrok został wykonany». Ja nie rozpaczam, choć się boję, a w sercu taka miłość płonie. Więc klęczę u nóg Twoich mamo, całując spracowane dłonie. Nie płacz Mateczko, muszę przejść te siedem schodów do piwnicy. Nieś moje osiemnaście lat, aby nie wlekli mnie strażnicy. Kocham cię Matuś, słońce, wiatr i łopot żagli na jeziorze I pierwszych pocałunków smak i kiedy jest wzburzone morze! Umierać jest mi strasznie żal, przysięgam na mą biedną duszę. Tak trudno przejść te siedem schodów a przecież przejść je muszę!!! Więc jeśli kiedyś WRÓCI Polska to niech się za nas ktoś upomni. Żegnaj Mateczko, klucz zgrzyta w zamku... idą po mnie!!!”. Takie to były, proszę państwa, pisane wiersze. Następny wiersz, który tu powstał, bez zapisywania na papierze, był „Śmierć księdza Wrony”. A zaraz państwu opowiem, jak to było. Obudziłem się, bo było bardzo zimno. Wiadomo, że spaliśmy na dwóch sienniczkach, w których była jakaś sieczka, pamiętająca jeszcze nie wiadomo kogo. Przykryci byliśmy w czterech dwoma takimi kocami, które nie były nawet kocami i nie leżały przy kocach. Ponieważ spałem koło księdza Wrony, myślałem, że to on mnie odkrył. Obudziłem się i patrzę, a on klęczy w tym półmroku, oświetlony tą żaróweczką nad drzwiami we wnęce i szeptem modli się. Modli się, proszę państwa, za tych bandytów, którzy go skazali na śmierć. Po chwili wstał i powiedział: „Słuchaj, obudź ich, bo chciałem się z wami pożegnać”. Jeszcze było szaro. Za okienkiem maleńkim, zakratowanym, widać było skrawek nieba, więc był taki półmrok. Obudziłem Staśka i górala i wtedy on stanął nad nami, rozłożył ręce, powiedział: „Dzieci, błogosławię was w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Za chwilę przyjdą po mnie”. I ukląkł przy drzwiach. Nie wiem, ile czasu tam klęczał, nie wiem, jak to długo trwało, wiem, że w pewnym momencie otworzyły się drzwi i wpadło czterech łobuzów. Nie spodziewali się, że on czeka na nich. Wywlekli go na korytarz, wiążąc mu ręce z tyłu. Trzy tygodnie później, nie, nawet wcześniej, zabrali Staśka, cichociemnego i zostaliśmy we dwóch. I Józek tak się zastanawiał głośno: „Wiesz, »Andrzeju«,,, ponieważ taki miałem pseudonim, „wiesz, pewnie to ciebie wezmą”. I któregoś dnia otworzyły się drzwi, a brali zawsze przed apelem na rozwałkę i po apelu. Otworzyły się drzwi, wszedł klawisz i powiedział: „E, e, wy!”, taka wasza mać, bandyci, „Pod ścianę!”. „A ten jeden, ten, wychodzi”. Zdziwiłem się, bo w dzień nigdy nie brali na rozwałkę. Okazało się, proszę państwa, rzecz niewiarygodna, moja matka po raz drugi dała mi życie. Dowiedziała się o istnieniu takiego adwokata, nazywał się on Maślanko. Był to w tamtych czasach, w latach 50., znany adwokat żydowskiego pochodzenia, który miał koneksje rządowe, znał wszystkich i wszystko, i mógł wszystko. Sprzedała to mieszkanie na Pradze, sprzedała wszystko, co miała, zapożyczyła się u rodziny i przyjaciół, zapłaciła temu adwokatowi. Nie wiem, ale to były olbrzymie sumy. On przyjechał do Wrocławia, odnalazł tego żołnierza, na podstawie którego ja dostałem karę śmierci. Odnalazł tego żołnierza, który już był podoficerem, faktycznie ja do niego strzelałem, ale on strzelał do mnie, więc ja strzelałem do niego. Ale nie było mowy o żadnym dobijaniu. Uzyskał od niego pod przysięgą czy pod... nie wiem, w jaki sposób, uzyskał zeznanie, ten żołnierz zeznał, że on nie wie, czy to ja strzelałem, bo on był w szoku, a nas było kilku, dokładnie trzech wtedy było nas, było nas kilku, więc on nie wie, kto dokładnie strzelał, ale ktoś strzelał. A że był w szoku, to mu się wydawało, że ja chcę go dobić. I na tej podstawie, proszę sobie wyobrazić, jak łatwo było naginać prawo. Powtórnie zebrał się sąd, już bez mojej obecności i zasądził, że ja już nie

zasługuję na karę śmierci, ale zasługuję na 12 lat więzienia. I ten oddziałowy, który mnie wyprowadził z celi, na korytarzu odczytał mi ponowny wyrok i przeprowadził mnie już do innej celi. Stamtąd, z Wrocławia pojechałem do Wronek. Wronki to było takie ciekawe więzienie, tylko polityczni siedzieli, siedziało nas wtedy od 8 do 12 tysięcy, różnie to bywało. Obsługa tego więzienia znana była z okrucieństwa, to byli dobierani ludzie chyba, nie wiem, z piekła rodem, skąd oni ich... ale się żyło. Żyło się i nawet nie wiem, kiedy... Wiem, kiedy minęły te lata, bo spaliśmy na betonowej podłodze. Przez całe te lata pamiętam, że raz jedyny pozwolono nam napełnić sienniki słomą, ale to chyba raz jeden, więcej nie pamiętam. Jak się żyło w więzieniu? Rano pobudka, proszę państwa, zafatwiało się potrzeby fizjologiczne do kubła takiego, o którym myśmy mówili „kibel”. Później wnoszono nasze... to znaczy myśmy wnosili nasze ubrania, bo spało się tylko w koszulach i w kalesonach. Po chwili było śniadanie składające się z kawałka chleba i kawy. Do obiadu było dosyć daleko, ale jakoś udawało nam się przetrwać. Na obiad zawsze była jakaś zupa, przeważnie była to, w zależności od pory roku, na wiosnę to były takie te, co przerywają gospodarze na działkach, w polu z robalami. A pamiętam, że kiedyś dostaliśmy taką jakąś zieloną zupkę i były takie fajne białe robaczki. I te robaczki odsuwaliśmy na bok, na bok, a w końcu, jak zjedliśmy zupę, nie było tych robaczek. Ale to było... No, dało się przeżyć. Na kolację była też jakaś zupina, a czasami kawałek tego czerstwego chleba. Nigdy nie podano nam świeżego chleba. Porcja na śniadanie to była ćwiartka chleba, chyba to, ja nie wiem, ale może 250 gram. Ciężkie to było życie, ale za to towarzystwo było fajne. Tam spotkałem Antka Hedę, znanego dowódcę, „Szarego” z Kieleckiego, zaprzyjaźniliśmy się, już świętej pamięci, tam Staśka Skalskiego, wielu ludzi, wielu ludzi stamtąd. Zresztą ja byłem najmłodszym człowiekiem... Zawsze wtedy byłem najmłodszy. Dlatego trochę traktowano mnie, tak powiem, ulgowo. Raz kiedyś... Co dwa tygodnie wpadali oddziałowi i robili rewizję. Nie wiadomo, co rewidowali, bo tylko sienniki były. I w jednym z sienników znaleźli taki maleńki kawałek ołówka. No i kto się przyznał? Wszyscy się przyznali, tylko nie ja. Ale ja poszedłem do karceru za ten ołówek na 24 godziny, bo tak się podobało „Dziadkowi”. „Dziadek” Bąkowski, był taki stale pijany klawisz. Aż przyszedł dzień, przyjechała do mnie taka dziewczynka, do której raz w miesiącu mogłem napisać list, a pisałem go tak, że pisałem do mamy, połowę listu do mamy, a połowę do niej. I moja mama wysyłała tę połowę do tej dziewczynki. I ona przyjechała do mnie na widzenie i dostała to widzenie. To był rok 1956 chyba, ale nie pamiętam, bo zawodzi mnie pamięć. Przyjechała i powiedziała: „Słuchaj, chyba wyjdziecie na wolność, wszyscy”. No i ja z tą nowiną pobiegłem, znaczy odprowadzono mnie pod celę i tak się żeśmy zastanawiali, co się stanie, może komunistów szlak trafi, może będzie wojna. Nie wiedzieliśmy, że za chwilę wybuchnie powstanie w Poznaniu. Wtedy widziałem po raz pierwszy, jak karabiny, RKM-y na wieżyczkach zostały skierowane na zewnątrz, a nie na spacerniak, gdzie myśmy spacerowali. I tak przeżyliśmy, w takim błogim nastroju, że może to coś będzie, bo dochodziły do nas różne informacje. A skąd te informacje? Gospodarze, którzy nie oddawali kontyngentu, czy nie wiem, jak to się nazywało, to ich sądy skazywały na 20 dni albo 30 dni więzienia i przywozili ich do Wronek, i oni z nami siedzieli te 20 czy 30 dni. Po to, żeby się bali, tu ludzie siedzieli, najmniejszy wyrok ja miałem 12 lat. I od nich mieliśmy różne informacje dotyczące, co się dzieje w Polsce. I na raz któregoś dnia przed Bożym Narodzeniem, proszę sobie wyobrazić, otwierają się drzwi, dwóch porządkowych ma olbrzymi kosz, w którym są takie małe paczuski. I oddziałowy każdemu wręcza taką paczuszkę. Ze zdziwieniem otwieram, bo pięknie zapakowane i w mojej paczusce jest chusteczka, skarpetki, paczka papierosów, której nie wolno było z zewnątrz dostarczać. Nie wiem, z tymi papierosami to ja nie pamiętam, ale chyba była. I kartka, i na tej kartce, którą mam do dnia dzisiejszego, przechowuję ją jak relikwię, pisze, że ktoś, że studenci, że ludność Poznania pozdrawia nas i życzy nam powrotu na wolność. Proszę sobie wyobrazić, że siedziało nas wtedy pod celą sześciu, bo to jakoś tak było, że dwóch siedzia-

to za ziarka i nas czterech kryminalistów, i myśmy siedzieli pod ścianą, i płakaliśmy za radości, że nareszcie ktoś nie mówi do nas „bandyto”, że ktoś nareszcie uważa nas za swoich, za normalnych ludzi i Polaków. I tak przetrwaliliśmy w tym przekonaniu, że nie jesteśmy... Proszę państwa, można wmówić w człowieka wszystko, pod warunkiem, że ten człowiek jest słaby. Pod celą, we Wronkach było to, że więźniowie nawzajem się podtrzymywali duchowo. Bywało tak, że od niektórych odchodziły żony, mnie rzuciła dziewczyna, co prawda nie przeżywałem tego aż tak mocno, ale były chwile zwątpienia. Zawsze się znalazł ktoś, kto przywoływał do porządku takiego delikwenta. I wreszcie przyszła wolność, dziwna to była wolność, bo wszędzie traktowano mnie jak obywatela trzeciej, a może czwartej kategorii. Pamiętam, że spotkałem człowieka, który pomógł mi bardzo, sam kiedyś walczył w powstaniu, był akowcem i był wykładowcą w liceum zawodowym. Wciągnął mnie tam, pomógł mi, zacząłem się uczyć, zacząłem pracować, ale cały czas czułem się, że nie jestem u siebie w kraju. Z kilku nawet zakładów, no może przesadzam, ale z dwóch zakładów wyrzucono mnie za to, że byłem kryminalistą. Pamiętam, że pracowałem w takim budującym się, już częściowo działającym, szpitalu w Warszawie na Szaserów. Był to wojskowy szpital. Po trzech czy czterech miesiącach zastępca komendanta do spraw technicznych wezwał mnie i powiedział: „Słuchaj, sam się zwolnisz czy mamy cię wyrzucić?”. Pytam: „Za co?”. „No wiesz za co, jesteś bandytą”. Ja powiedziałem, to mnie wyrzucicie, i wyrzucili mnie. Tak było też w Zakładach Fotonu, a, ale nie ma o czym mówić. Proszę państwa, przyszedł 1980 rok, to gdzie ja mogłem się znaleźć? Już byłem wtedy żonaty. No oczywiście, w Solidarności. Dzięki tej Solidarności poczułem oddech wolności. Oczywiście znalazłem się na samej górze, zaprzyjaźniłem się z Anką Walentynowicz, Andrzejem Gwiazdą, Zbyszkim Romaszewskim, Ewką Tomaszewską. W MLKS-ie, to był taki międzyzakładowy komitet robotniczy, Solidarność. Działaliśmy jak w amoku. Wydawało nam się, że nasze działanie przywróci wolność. Kto wtedy sądził, że jakiś tam „Bolek”, jakiś Wafęsa będzie sprzedawał nas. Pamiętam, w 1985 roku Anka powołała taką głódówkę protestacyjną przeciw aresztowaniom „politycznych” w Krakowie-Bieżanowie. Tam spotkałem też parę osób, byłem ja na tej głódówce, najpierw pojechała żona, później ja. Czy to coś dało? Nic, tyle że poznaliśmy świeżych, nowych przyjaciół. Udało nam się nawiązać kontakty z innymi regionami. Śmierć Jerzego. Jerzego Popiełuszkę znałem osobiście, bo był on, że tak powiem, kapelanem Huty, ale również opiekował się MRKS-em, który był produktem Huty, że tak powiem, 80% zarządu MRKS-u to byli hutnicy. Jakoś udało mi się załatwić po raz pierwszy w życiu sanatorium i pojechałem do tego sanatorium, i po dwóch tygodniach, czy po dziesięciu dniach, żona zadzwoniła i powiedziała: „Leszek, słuchaj, porwali Jerzego”. I ja natychmiast rzuciłem to sanatorium i przyjechałem do Warszawy. I po chwili już wiedzieliśmy, że bandyci zaczęli działać, a nam zawsze Jerzy mówił, że zło dobrem zwyciężaj. Ja nigdy tego nie rozumiałem i nie rozumiem, bo jestem radykalista. Ja uważam, że na zło trzeba odpowiedzieć złem. Później pogrzeb. Działaliśmy w dalszym ciągu, przez moje mieszkanie przewijały się setki, tysiące ulotek, gazet, ponieważ był to, że tak powiem, centralny punkt kolportażu. Przyjeżdżali górale, hutnicy, górnicy, cholera wie kto, z Lublina. Co jakiś czas była rewizja, aresztowania, przeżyliśmy i to, aż przyszedł 1989 rok. Proszę państwa... Daję słowo, poszedłem wtedy z żoną na tęczkę, bo wiedziałem, że tam grzebali moich kolegów. I tak ku zdziwieniu wszystkich obecnych tam ludzi na grobach krzyknąłem: „Bracia! Nareszcie przyszła Polska, a ja już nie jestem bandytą”. Myliłem się, jeszcze byłem. Jeszcze byłem. Dopiero, kiedy profesor Kaczyński został prezydentem, zaproszono mnie do Belwederu i odznaczono jednym z najwyższych odznaczeń, to znaczy Komandorium z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Poczułem się, że jestem w kraju, kraju, za który... mój Boże, któremu ofiarowałem całą młodość. Teraz myślicie państwo, że usiadłem i siedziałem. A skąd że, zacząłem rozglądać się wśród młodzieży, zagubionej, zatraconej w tym współczesnym życiu. Dzięki temu powołałem, jakby to powiedzieć, kontynuację Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, Krajowa Komenda

Główna WIN-u, już w tej chwili po rejestracji, no nie w tej chwili, już dawno rejestracja nastąpiła, mamy kilka inspektoratów. A w tej komendzie jestem komendantem, mamy inspektorat w Warszawie, w Radzynie, w Lublinie. Chcemy wytłumaczyć, powiedzieć, pokazać tej młodzieży, że używki i hulanki wszelkiego rodzaju to nie jest patriotyzm, że patriotyzm to nie jest nawet miłość do piłki nożnej. Patriotyzm to jest Polska, te miasta, te piękne wsie, te lasy, te jeziora, ta nasza ziemia. To nasza matka, a matki w razie potrzeby trzeba bronić. Dziękuję.